

Rok, w którym spłonął Londyn

4 czerwca 2014

Londyn dopadła prawdziwa czarna seria. W 1664 r. wybuchła zaraza, którą później nazwano wielką, ponieważ trwała przez niemal 2 lata i potrafiła zabierać nawet 8 tys. ludzi tygodniowo. Gdy myślano, że sytuacja wróciła do normy, wybuchł pożar. Także nazwany wielkim, bo pochłonął 80 proc. miasta.

Zarazy pojawiały się w Londynie z ogromną regularnością. Połączenie rzeki, doków, ogromnej liczby przybyszów, fatalnych warunków sanitarnych i ogromnego zagęszczenia ludności tworzyło doskonałe warunki dla rozwoju chorób zakaźnych. Kolejne epidemie zabierały dziesiątki tysięcy mieszkańców miasta, ale to, co stało się w 1664 r., było wyjątkowe nawet jak na londyńskie warunki. Choć zaczęło się tak, jak zawsze.

Dżuma przypłynęła do miasta na jednym ze statków. W ciągu dwóch kolejnych lat zabrała 100 tys. ludzi, czyli 15 proc. ówczesnej populacji miasta. Większość sklepów i zakładów rzemieślniczych była zamknięta przez niemal 2 lata. Ludzie umierali na targach i na ulicach. Ślady po zarazie da się w londyńskim krajobrazie odnaleźć do dziś. W okolicy Gosswell Road w Islington, a dokładnie w miejscu nazywanym Mount Mills, wciąż można znaleźć niezabudowane przestrzenie. W tej części Londynu jest to coś raczej niespotykanego. Jednak w tym miejscu znajdują się mogiły ofiar Wielkiej Zarazy. Daniel Defoe pisał o Mount Mills, że „wielu pochodzących z parafii Aldersgate, Clerkenwell, a nawet spoza miasta zostało tam pochowanych zbiorowo”.

Kiedy epidemia po dwóch latach wygasła, myślano przez chwilę, że wszystko wraca do normy. Mylono się jednak. Nie był to koniec czarnej serii miasta. Dżuma zabrała 100 tys. ludzi, ale kolejne 100 tys. miało wkrótce stracić dach nad głową. Taki był efekt największego pożaru w historii miasta – Wielkiego Pożaru Londynu, w czasie którego spłonęło niemal całe The

City.

DŻUMA ZABRAŁA LUDZI, POŻAR DOMY

To, co czyniło z Londynu doskonałe miejsce dla rozwoju epidemii, powodowało jednocześnie, że był miastem, w którym było wyjątkowo łatwo o pożary. Sprzyjała im gęsta zabudowa, sporo slumsów oraz domy z drewna. Dotyczyło to podmiejskich slumsów, ale też samego City. Tam wprawdzie w XVII wieku świetnie miał się handel i przeróżne biznesy, ale jednocześnie mieszkali w tej części raczej biedniejsi mieszkańcy Londynu. Bogatsi uciekali od gwaru, zgiełku i tłoku do Westminster lub poza miasto. Murowana była tylko jego centralna część, a wokół niej uparcie stawiano domy z drewna.

Robiono to, mimo że prawo zakazywało takiego budowania. A zakazywało, ponieważ The City miało długą historię porażek ponoszonych w walce z ogniem. Już rzymskie Londinium miało specjalną nocną straż, która z wiadrami napełnionymi wodą krążyła uliczkami i wypatrywała niebezpieczeństwa. Strażacy szybko wpisali się w krajobraz miasta, a ich głośnie „Hi! Hi! Hi!” poprzedzające syreny dzisiejszych wozów już w średniowieczu rozbrzmiewało z regularnością. Ackroyd wylicza, że Londyn spłonął w: 764, 798, 852, 893, 961, 982, 1077, 1087, 1093, 1132, 1136, 1203, 1212, 1220 i 1227 r. I były to tylko pożary średniowieczne, bo wcześniej – przynajmniej dwa razy – płonął w czasach rzymskich, a i później nie było wiele lepiej.

Lato 1666 r. było wyjątkowo upalne. Słońce prażyło przez dwa miesiące bez przerwy, wysuszyło budynki i zmieniło je w doskonałe paliwo dla ognia. Lipiec i sierpień przetrwano, ale w nocy z 1 na 2 września (i z soboty na niedzielę) doszło do wypadku, po którym zapaliła się piekarnia prowadzona przez Thomasa Farrinera przy Puddington Lane. Mieszkająca na piętrze rodzina zdołała uciec. Nie udało się to służącej mieszkającej na parterze, która stała się pierwszą ofiarą Wielkiego Pożaru. Do dziś nie wiadomo, od czego zaczął się pożar, choć teorii było całe multum. Sam Farriner bronił się później, mówiąc – za

Ackroydem – że przed pójściem spać „przeszedł przez każdy pokój i nie znalazł ognia nigdzie poza jednym kominem, w pomieszczeniu zbudowanym z cegieł, w którym celowo utrzymywał żar”. Wierzyć temu jednak nie można, bo kto w jego sytuacji mówiłby co innego? Choć większość dała mu wiarę, bo nie chciano uwierzyć w przypadek. Ale o tym za chwilę.

Ogień zauważono szybko i próbowano opanować. Jednak sąsiedzi, którzy dysponowali jedynie wiaderkami, byli bezbronni. Drewniane i wysuszone ściany oraz dachy szybko zajmowały się płomieniami. Niewiele mogli zrobić też wezwani strażacy, którzy wprawdzie dysponowali już wtedy pompami, ale były to wciąż narzędzia bardzo niedoskonałe, a do tego nie dało się ich na Puddington dociągnąć. Sprawę utrudniał jeszcze więcej mocno wiatr i szybko uznano, że nie ma szans na opanowanie ognia. W takich sytuacjach zwykle wyburzano stojące wokół budynki, by ograniczyć możliwość rozprzestrzeniania się pożaru. Tu też chciano tak zrobić, ale... nie zgodzili się ich właściciele, a wezwany na miejsce Lord Major, który mógł podjąć decyzję wbrew nim, nie potrafił się zdecydować.

Był nim wtedy Thomas Bloodworth. Człowiek uchodzący za niespiecjalnie rozgarniętego i całkowicie nienadającego się do piastowania tego stanowiska. Adrian Tinniswood, autor ostatniej monografii Wielkiego Pożaru, pisał o nim tak: „On nie miał doświadczenia, zdolności przywódczych i autorytetu, który pozwoliłby mu przejąć kontrolę nad sytuacją”. I nie przejął. Ogień rozprzestrzeniał się w bardzo szybkim tempie. Samuel Pepys, najśłynniejszy pamiętnikarz XVII-wiecznej Anglii, w niedzielę (2 września) rano poszedł do Tower, by stamtąd zobaczyć, co się dzieje. Pisał o ludziach próbujących schować swój dobytek w parafialnych kościołach, setkach spalonych domów i... „biednych gołębiach”, którym żar palił pióra i spadały wprost do ognia. Swoją podróż „rzeką” relacjonował tak: „Prawie spłonąłem od spadających iskier”.

W tym czasie silny południowo-wschodni wiatr roznosił pożar po mieście. Nie przeszkadzały też baryłki z prochem, które od

wydarzeń angielskiej wojny domowej przezorni obywatele przechowywali w domach. Pożoga przeniosła się z Pudding Lane w stronę London Bridge (przez chwilę obawiano się nawet o Southwark), a później kolejno na Thames Street, Old Swan Lane, St. Lawrence Lane i Dowgate. Pepys, który wkrótce rzekę zamienił na gospodę po drugiej stronie Tamizy, pisał: „W narożnikach, w kościelnych wieżach, pomiędzy kościołami i w domach widać było coraz większy ogień. Na ile mogliśmy zobaczyć, wzgórze City zamieniło się w najbardziej przerażający, złośliwy płomień. Zupełnie nieprzypominający zwyczajnego ognia”.

John Evelyn, inny z wybitnych autorów XVII wieku, w poniedziałek pisał, że w mieście nie słychać nic poza płaczem i zawodzeniem. Szabrowano pozostawione bez opieki domy. Jednocześnie każdy, kto jeszcze mógł, wywoził dobytek do miejsc, które uważano za bezpieczne. W tym wypadku – niesłusznie – uchodziły za takie kościoły. A zwłaszcza katedra św. Pawła, która stanęła w ogniu. Jej dach się stopił, a metal spłynął w dół. Stopił się zresztą nie tylko on, bo nawet kraty w więzieniach nie wytrzymały temperatury. Dym czuło się ponoć nawet 70 km od miasta. Wszystkiemu towarzyszyło nieznośne gorąco. We wtorek, w trzecim dniu trwania pożaru, ogień dotarł do Fetter Lane w Holborn i tam się zatrzymał. Powstrzymała go zmiana wiatru.

PIEKŁO PO PIEKLE

Ofiar było zaledwie sześć, ale w trzy dni zniknęło 80 proc. zabudowy miasta. John Evelyn pisał: „Nikt nie mógł być pewny, gdzie jest”. Konsternacja londyńczyków była ogromna. Zniknęło wszystko, co znali, z wyjątkiem kilku charakterystycznych kościelnych wież. Peter Ackroyd wyliczał: „Pożoga pochłonęła 460 ulic i 13,2 tys. stojących przy nich domów. Zniknęło 89 kościołów i 4 z siedmiu bram miasta”.

Szybko zaczęto szukać kozła ofiarnego. Byli tacy, którzy znajdowali go w grzechu. Sprawę ułatwiało im to, że w 1664 r.

nad miastem zauważono kometę. Po czasie tłumaczono: Bóg zapowiadał plagę oraz pożogę. Wszystko za karę. W to uwierzyli jednak tylko nieliczni. Większość wołała winnego, który był bliżej: imigrantów.

– Stosunek do imigrantów ciągle się zmienia. W dobrych latach obcokrajowcy są ciekawi, zabawni i mają śmieszny akcent. Można ich wyśmiać lub ignorować. Kiedy czasy stają się gorsze i przychodzą problemy gospodarcze, religijne lub społeczne, a napięte nerwy szukają ujścia, obcokrajowiec zostaje pierwszym celem – opowiadał prof. Ronald Hutton z Bristol University.

Tak wielki pożar – argumentowano – musiał mieć winnego i rozpocząć się od podpalenia. Pierwsze podejrzenie, jeszcze w czasie jego trwania, padło na Holendrów, z którymi Anglia dopiero co toczyła wojnę. Drugie na Francuzów. I jeszcze katolików. Niektórzy podejrzewali też Karola II, który miał mścić się za ojca. Głośno zaczęto mówić o tym, że to nowy spisek prochowy, i tłum zaczął wymierzać sprawiedliwość. Obcokrajowców atakowano na ulicach. Dochodziło do linczów. Za tłumem podążyły władze. Parlament powołał komisję do zbadania przyczyn pożaru. Wkrótce zaczęli pojawiać się świadkowie mówiący o tym, że Holendrzy knuli. Knuć mieli też Francuzi. Komisja parlamentarna ustaliła, że chodziło o wypadek, ale nie zmieniło to faktu, że koniecznością było znalezienie kogoś, kto się przyzna, i to się udało. Robert Hubert był 26-letnim synem zegarmistrza z francuskiego Rouen. Mężczyzna, którego zatrzymano z nieznanego powodu – być może tylko dlatego, że był Francuzem – po aresztowaniu opowiedział o tym, że próbował podpalić Westminster. Wprawdzie Westminster nie spłonął, ale trzeba było dokonać tylko kilku „poprawek” w przyznaniu się do winy i można było przedstawić ludziom kozła ofiarnego.

Huberta umieszczono w Southwark Prison i popracowano, by jego opowieść wyglądała „lepiej”. Już po kilku dniach okazało się, że podpalał nie Westminster, a piekarnię przy Puddington Lane. Wcześniej miał się po prostu pomylić, co nikogo nie zdziwiło, choć pałac raczej nie przypominał piekarni. Do przyznania

Hubert dołożył historyjkę o tym, że działał we współpracy z papistami i francuskim królem. Biedaka skazano w Old Bailey, choć nawet ława przysięgłych nie wierzyła ponoć w jego winę. Powieszono go w październiku w Tyburn. Zwłoki zostały rozszarpane przez tłum. Później okazało się, że w czasie pożaru nie było go nawet w Londynie. Połowanie na czarownice trwało jeszcze przez niemal rok. Obcokrajowcy trafiali do więzień. Byli bici. Utrudniano im lub uniemożliwiano odbudowę domów, za którą zabrano się wkrótce po pożarze i która z czasem nabierała tempa.

Katastrofę chciano bowiem wykorzystać, by wąskie uliczki The City zmienić w miasto w kontynentalnym stylu. Z szerokimi alejami i zupełnie nową siatką ulic. Adwokatem takiej zmiany był zwłaszcza Christopher Wren – także autor pomnika Wielkiego Pożaru, który stoi przy Monument Street. Ostatecznie jednak spory własnościowe zmusiły budowniczych, by zachowali stary układ miasta. Tyle tylko, że zrezygnowano z drewna jako materiału budowlanego. Nowy Londyn był murowany, a postavili go imigranci, którzy szybko wypełnili lukę po Wielkiej Zarazie i... antyimigracyjnej nagonce, która spowodowała, że z miasta uciekło wielu potrzebnych rzemieślników i fachowców.

Autor: Tomasz Borejza

Źródło: [eLondyn](#)